

Teofila Silberring

Teofila Silberring

Editing: Anka Grupińska, June, 2012

Panią Silberring spotykam w jej maleńkim mieszkanku przy ulicy Karmelickiej w Krakowie. Centrum miasta, pod oknami tłuką się tramwaje, słysząc syreny karetek i radiowozów – w pobliżu jest szpital i posterunek policji. Niewysoka, ciemnowłosa pani od kilku miesięcy porusza o kuli. Teraz wychodzi z domu tylko raz dziennie i złości się na swoją nogę, która, mimo endoprotezy stawu biodrowego, odmawia posłuszeństwa. Odkąd zaczęły się kłopoty z nogą, trudno jej wejść na trzecie piętro i musiała ograniczyć aktywność. A pani Teofila jest bardzo energiczną kobietą i ma duży apetyt na życie. Trudno uwierzyć, że ma już prawie 80 lat. Pani Silberring jest świetną gawędziarą, ma wielkie poczucie humoru i dar opowiadania dykteryjek.

Wszyscy byli z Krakowa, wszyscy. Z dziada, pradziada. Mieli domy rodzinne, przechodziły z ojca na syna. Wiem, że ojca rodzice mieszkali na Długosza 8 w Podgórzu [prawobrzeżna dzielnica Krakowa, do 1915 r osobne miasto], a mamy rodzice na Kalwaryjskiej 32, też w Podgórzu. Cała moja rodzina była zasymilowana, wszyscy mówili po polsku. Chyba nikt z rodziny nie mówił w jidysz, w każdym razie nie do dzieci i nie przy nich. Do nas mówiono piękną polszczyzną. Nawet nie wiem, czy ojciec znał jidysz. Nikt z rodziny nie nosił tradycyjnych, żydowskich strojów. Ubieraliśmy się jak wszyscy na ulicy i wszystkie dzieci chodziły do polskich szkół. Ale tradycję utrzymywaliśmy i święta obchodziliśmy.

Mieszkaliśmy na Kazimierzu przy Miodowej 21 z babcią, matką ojca. To był jej dom. Dwupiętrowy, narożny, ogromny dom. I potem, jak babcia zmarła, zapisała dom ojcu. Ona tak się nazywała, jak ja – Tauba Nussbaum. Ja jestem po babci Teofila, po żydowsku Tauba. Kiedy się urodziłam w 1925 roku, to już dziadek Hirsza nie żył. A babcia zmarła, jak miałam 6 lat. (Nie wiem, jak się nazywała z domu). Nie wiem, co jej było, w każdym razie już była leżąca. Mówiła czystą polszczyzną, pięknie. Interesowała się, co w szkole, poprawiała mi zadania.

Ojciec siostrę miał i brata. Brat się nazywał Chaim, mieszkał na Paulińskiej 8. Miał córkę, Helenka się nazywała. Wujek miał sklep spożywczy [dawniej nazywał się: kolonialny]. Ciocia mieszkała na Dietla. Nie pamiętam, jak miała na imię i jak się nazywała po mężu. Dzieci miała, ale myśmy jakoś z nią nie utrzymywali kontaktów. Ciocia była bardziej tradycyjna jak ojciec. W czasie wojny oni wszyscy zginęli.

Moja mama z domu jest Barber. Rodzice mamy mieli sklep z towarami kolonialnymi. I wiem, że mama tam pomagała, jak była panną. Dziadka nie pamiętam, bo jak się urodziłam, dziadek nie żył. Babcia, (nawet nie wiem, jak miała na imię), prowadziła sklep sama. Babcia była świetną gospodynią. Zawsze dostawaliśmy soki przez nią robione. Dom stał bardzo ładnie zagospodarowany, bo babcia sobie wzięła mamy siostrę najmłodszą, która jej pomagała. Miała też służącą, która gotowała. To był taki dom jednorodzinny i na dole był sklep. Z tyłu był ogródek. Na pierwszym piętrze była część mieszkalna, z dużym, drewnianym balkonem. Ładnie urządzone pokoje, 4 lub 5. Wisiły obrazy wszędzie. Stała taka jadalnia czarna, gdzie w szufladkach były

pomadki. Zawsze sobie je brałam, bo pamiętam, że otwierałam te szuflady tak, żeby nikt nie widział. Sklep był dość duży. Tam była mąka w takich workach dużych i były cukierki, kawa zbożowa Enrillo. Cukierki stały w szklanych [poprawnie: szklanych] słojach z przykrywką. Mogłam sobie brać. Chyba landrynki, bo takie mi się podobały, kolorowe. Poza tym pamiętam jeszcze tak zwane lodesy. Takie tabliczki, jak czekolada, tylko mniejsze. Różne kolory były, czerwone, niebieskie, zielone, takie śliczne. To było święństwo nie z tej ziemi, nie wiem, z czego zrobione. Takie święństwo najtańsze, dla biednych dzieci. Ja byłam takim dzieckiem niejedzącym na złość mamie, ale ja to bardzo lubiłam i jak przychodziłam do babci, to tylko te lodesy chciałam. Do wojny babcia prowadziła ten sklep w domu. Czy zmarła ze starości, czy ją zabrali do getta, tego to ja nie pamiętam.

Mama miała 3 siostry i brata. Starsze się nazywały Helena i Sala, najmłodsza była Hania, a brat miał na imię Szlomo. Mąż cioci Heli nazywał się Sruł Weintraub. Byli bardzo zamożni. On był współwłaścicielem „Łuszczarni i Młynów Krakowskich” w Krakowie przy Mogilskiej [Łuszczarnia – zakład przetwórczy wyposażony w urządzenia do przeróbki nasion, najczęściej ryżu i grochu]. Wujek zmarł w 1937 roku. Podczas wojny, jak moja mama zmarła, ciocia Hela nas wzięła do siebie. Bo była najbliższa mojej mamie. Mieszkali na Jasnej. Ciocia zmarła w czasie wojny na nowotwór. Leży pochowana w Miechowie, tylko nie ma pomnika. Nie wiemy, gdzie. Zmarła chyba w 1942 roku. Oni mieli 3 dzieci. Jedna jej córka żyje we Wrocławiu. Moja kuzynka, Bronisława Goldkorn. Ona ma 93 lata i się świetnie trzyma. Jaki ona ma umysł i jak ona pisze pięknie! To jest nie do wiary, naprawdę. Oni byli w Związku Radzieckim i tylko ona przeżyła, pozostała dwójka zmarła tam na tyfus. Ciocia Sala to mieszkała w Podgórzu. Wiem, że miała pięcioro dzieci, ja nawet wszystkich nie znałam, bo z tą ciocią to nie mieliśmy takiego kontaktu. Bardzo się im źle powodziło. Rodzice jej pomagali, bo wujek był jakiś taki niezaradny, nie pracował. Tradycję utrzymywali bardziej jak u nas, bo wujek był bardzo religijny. Najmłodsza była Hania, mieszkała z babcią i jej pomagała. Wujek Szlomo był starszy, jak wojna wybuchła mógł mieć ze czterdzieści parę lat. Miał delikatesy na ul. Agnieszki. I jakoś, nie wiem, mama nie utrzymywała z nim kontaktów. Wyrodził się. Nie chciał chodzić do szkoły, kopał w piłkę. To było, jak się to mówi, nie do smaku rodzinie. Tradycję utrzymywał. Podobno żyje kuzynka w Izraelu, córka jednej z sióstr matki. Ale nie mam z nią kontaktu. Pozostali zginęli.

Moi rodzice, Gustawa i Juda Nussbaum, urodzili się w 1900 roku. Mieli po 20 lat, jak się pobrali. Zakochali się i brali ślub żydowski pod baldachimem, były zdjęcia u nas w domu. Czy tam gdzieś nie było swatki, tego ja nie wiem. Ale w każdym razie się mówiło, że z miłości. Wielkiej. Zresztą bardzo dobre małżeństwo było. Z tego, co ja pamiętam.

Ojciec nie miał wyższych studiów. Miał maturę. Ale znał bardzo dużo języków. Sam się po prostu kształcił. Był jednym z pierwszych esperantystów w Krakowie. Razem ze swoim kolegą, znanym polonistą Dreherem pisał zeszyty [broszury] do nauki esperanto. Opracował także słowniki, polsko-hebrajski i polsko-francuski. Też z tym kolegą. Był dziennikarzem, krytykiem w „Nowym Dzienniku” [syjonistyczny dziennik, wydawany w Krakowie], z redakcją na ulicy Orzeszkowej. Właściwie na utrzymanie, to znaczy, żeby utrzymać dom, to zarabiał. U nas w domu były te czynsze i przychody. Pamiętam, że na dole było dużo sklepów. Oprócz tego ojciec miał niewielki, bo 7%, udział, w „Łuszczarniach i Młynach Krakowskich”, więc z tego żył. Bo jeżeli chodzi o to pisanie, nie wiem, ile za słownik dostawał. Czy za te zeszyty esperanto coś dostawał, czy to było tylko honorowe. Jeżeli chodzi o poglądy, ojciec był raczej socjalistą. Mama nie brała udziału w ogóle w życiu politycznym,

ale ojciec był socjalistą, co mu zarzucała rodzina. Ja tylko tyle pamiętam. Moja sąsiadka miała taką przedwojenną książkę, przegląd ludzi znanych w Krakowie i tam był ojciec. Proponowała, że mi to sprzeda, ale chciała bardzo dużo i ja nie miałam tyle pieniędzy. Sprzedała gdzieś w antykwariacie i bardzo żałuję.

Mama miała maturę, średnie wykształcenie. Prowadziła dom. Była bardzo skromna, raczej taka domowa kura. Miała dużo zainteresowań. Chodziła do teatru, do kawiarni. Mama się martwiła, bo ja nie chciałam jeść i się bała, biedna, że ja będę głodna. To mi stawiała w nocy, na szafce nocnej, którą miałam przy tapczaniku, ciasta jakieś. Ja się rzucałam na to, bo byłam głodna, bo ja na złość nie chciałam jeść. I rano mama wstaje i mówi – Kto biednemu dziecku zjadł ciasto? A ja cicho siedzę – Nie wiem, może tu ktoś był i zjadł. Ja nie jadłam niczego, skąd! – Biedne dziecko, zjedli mu wszystko. Nie chciałam nic jeść, bo wiedziałam, że oni się będą martwić. Widocznie chciałam być ważna. Bo tak bym zjadła, ale mi coś nie pozwalało, na złość. Potem w obozie, jak to sobie przypominałam, żebym miała okruszynę z tego ciasta... Ciężko zgrzeszyłam, że nie chciałam jeść.

Mój brat, Henryk, starszy był o 4 lata. Jak byliśmy dziećmi, tośmy się raz kochali, a raz kłócili. Brat był bardzo zdolnym uczniem, o co ja byłam zawsze wściekła. Był wspaniałym fizykiem i matematykiem, bo pamiętam, że go w szkole wołali nawet „Fosgen” [tlenochlorek węgla – bardzo toksyczna substancja chemiczna, podczas I Wojny Światowej używana jako gaz bojowy]. A ja byłam trochę w cieniu brata, bo byłam zdolna, ale nie tak bardzo. Zawsze się mówiło o nim więcej, jak o mnie i to mnie bardzo denerwowało. Mimo, że ja się też dobrze uczyłam w szkole i miałam duże zdolności do języków.

W domu była jeszcze panna do dzieci z językiem angielskim. Mówiła też po niemiecku. Brandwein, panna Brandwein. Żydówka z inteligentnego domu, ale zubożałego. Musiała sobie zarobić. Ona była chemiczką i uczyła gdzieś w gimnazjum, a popołudniu była z nami. Mnie odbierała ze szkoły, bo brat był starszy, sam chodził. Robiła z nami lekcje i uczyła nas języka. Ona zginęła też gdzieś, jak wojna wybuchła. Bo ona nie była z Krakowa i wyjechała do swoich, do rodziny. Nie wiem, co się stało. Mieliśmy też służącą i kucharkę. Mieszkały, jedna w słuźbówce, druga w kuchni i żarły się, jak nie wiem co. Tej młodszej pisałam listy miłosne do chłopaka, bo ona nie umiała pisać, była ze wsi. One były do wojny, dosłownie. Kucharka była nawet, jak już wojna wybuchła.

Myśmy mieli bardzo ładne mieszkanie, osiem pokoi na pierwszym piętrze. Brat miał swój pokój, ja miałam swój. Panna do dzieci miała swój pokój. Nam się dobrze powodziło, ale nie byliśmy jakimiś potentatami [bogaczami]. Ojciec uwielbiał wszystko nowoczesne. Że się zapożyczał, to ja wtedy nie wiedziałam, dopiero po wojnie się okazało, ile długów jest na tym domu. Ojciec był taki, że co się tylko pokazało, to lubił kupować. Pierwsze radio z okiem magicznym, patefon na korbę, z tubą, płyty piękne. Była łazienka, telefon, lodówka, no wszystko było, co tylko może być. Ja w moim pokoju miałam meble kremowe z niebieskim, już były wbudowane w ścianę. Przed wojną! I miałam tapczanik taki, już z wysuwaną szufladą. Ojciec nawet zrobił w moim pokoju umywalkę z ciepłą i zimną wodą, żebym nie musiała chodzić do łazienki rano. To miałam taką małą umywalkę, ze wszystkimi przyborami.

Przedpokój był bardzo duży. Pamiętam, ojciec mi przywiózł hulajnogę z takimi chromowanymi błotnikami, to jeździliśmy po przedpokoju. I jak koleżanki przychodziły, to dawałam się przejechać. Za obrazek, za sreberko, zawsze za coś. Byłam interesowna. Taki się miało, nie album, ale zeszyt. I robiło się trójkąty z kartek, jakby koperty. Kupowaliśmy obrazki z aniołkami, diabełkami, srebra z

pomadek się palcem wyprostowywało i chowało w tych kartkach. Potem w szkole się zamienialiśmy. Pamiętam, że kupowało się pastę Erdal do czyszczenia butów. W opakowaniu zawsze był jakiś blaszany znaczek. Wiec pilnowałam naszej służącej, żeby tylko ten Erdal kupowała, bo tam się znajdowało te ozdobne blaszki. To też zbierałam. Obok nas, na tym samym piętrze, jakaś rodzina mieszkała, nie pamiętam, jak się nazywali. Mieli 3 synów, którzy grali na mandolinie. Ja u nich stale siedziałam, bo oni tak pięknie grali. Śpiewali i grali. A na drugim piętrze były Klugerówny, dwie dziewczynki, tośmy się bawiły lalkami, w lekarza. Na górze, takie są małe balkoniki i tam się też bawiliśmy. W piłkę śmy grali, jakieś skakanki pamiętam, wyliczanki, w chowanego, w berka, takie zabawy. Nigdy na ulicy, w ogóle nam nie było wolno na ulicę wyjść. Wszystko w obrębie domu i na podwórku.

Przed wojna, Miodowa była taką ulicą raczej inteligentów, lepszych Żydów świeckich. A już na tych bocznych, mieszkali Żydzi w chałatach. No, nie powiem, żeby po Miodowej nie chodzili ci pejsaci, w białych skarpetkach [chasydzi]. Chodzili tak samo, ale to już była taka główna ulica. Naprzeciwko naszego domu jest synagoga Tempel. [Najpóźniej zbudowana na Kazimierzu (1860), tzw. postępową. Kaznodzieją był tu Ozjasz Thon (1870-1936), wybitny syjonista i poseł na Sejm RP]. Przed wojną, to była postępową synagoga, dla ludzi bardziej zamożnych, którzy przyjeżdżali samochodami, dorożkami. Tam by Żyd ortodoksyjny nie wszedł. Rodzice chodzili do Templu w każde święta, na pewno. A czasem, jak ojciec w sobotę chodził z mamą, to mnie zabierali. Ten Tempel był piękny. Mężczyźni byli na dole, kobiety na górze i do mamy chodziłam po takich schodach. Tam była taka bariera i się zaglądało na dół, co ci mężczyźni robią, jak się modlą. Bardzo mnie to wszystko cieszyło. Chętnie chodziłam, to też pamiętam.

W szabas mama zawsze świeciła świece i robiła te ruchy takie, to pamiętam, nad świecami. Na pewno była ryba w piątek wieczór. No i były te takie chałki specjalne. Zawsze było do jedzenia prawie to samo, a przede wszystkim robiło się to, co dzieci lubiły. Na pewno w sobotę był rosół z makaronem, ryba po żydowsku i galareta, bardzo taka pyszna. Zawsze ojciec miał kieliszek śliwowicy. Ja, oczywiście, nie dostawałam [śliwowicy]. Ale było piwo, które ojciec bardzo lubił. Piwo to sobie popijałam, bo też lubiłam, mimo, że było gorzkie. Poza tym chodziło się w piątek wieczór i nosiło tak zwany ciulent [czulent] do piekarni na Placu Nowym i dawało się piekaczowi. Nosiła to nasza służąca. Taki duży garnek był, zdaje się, kamienny. W sobotę rano przynosiła ciepły. Ja to bardzo lubiłam. To był groch, taki okrągły, nazywany arbese przez Żydów [der arbes- jidysz: groszek], kasza, tłuszcz jakiś... I to, takie zapieczone, było bardzo fajne. Ciasto było zawsze, ale na sobotę zwłaszcza, było bardzo dużo ciasta. W poniedziałek rano, przychodziła taka pani i dawało się jej zapakowane ciasto. To była też Żydówka, bardzo elegancka, której się widocznie źle jakoś powodziło. I zawsze jej nasza służąca całą paczkę tego ciasta dawała. Na dole u nas w domu był szynk [restauracja]. Prowadził go taki Żyd ortodoksyjny, z brodą, bardzo sympatyczny. On robił tę galaretę, którą ja tak bardzo lubiłam i wypiekał do niej, specjalne, okrągłe, posypane cukrem takie. ... Nie wiem, co to było, nie ciastko, nie chleb. On miał tłupy w sobotę. Ludzie przychodzili na rybę i na galaretę. To pamiętam. W sobotę służąca wszystko robiła, przecież Żydom nie było wolno nawet światła zaświecić, podobno. Ona mogła, bo nie była Żydówką. Wiedziałam, że w sobotę nie wolno jeździć, że nie wolno nam pewnych rzeczy wykonywać, ale dzieci już wszystko robiły, bo już dzieci były bardziej zasymilowane. No, a ojciec czasem chodził nawet do pracy w sobotę. Tak tradycyjnie religijny to ojciec nie był. Ale utrzymywał święta, wszystkie święta były obchodzone.

Moje ulubione, to Kucki [Kuczki, Sukkot], Święto Szałasów. Bo wtedy stały takie kucki [kuczki, suki, namioty] u nas na podwórku i my, dzieci, nie tylko ja, ale z całej kamienicy, robiliśmy łańcuchy kolorowe i prześcigaliśmy się, czyja będzie najładniejsza. Ojciec jadł tam [w kuczce] w pierwszy dzień, czy drugi. A potem było tak zwane wolne święto, to się tam nie jadło. Ale kucka stała do końca świąt, czyli 8 dni albo 7, tego to ja już nie pamiętam. W każdym razie bardzo lubiłam te święta, bo ja coś przygotowywałam, robiłam, byłam bardzo ważna. Kiedy mój łańcuch wypadł ładniej, jak mojej koleżanki z przeciwka, to byłam bardzo dumna. I ojciec też był ze mnie dumny i pokazywał wszystkim, co zrobiłam.

Purim też lubiłam, bo się dostawało prezenty. Pieniążki się dostawało. Przebieraliśmy się, pamiętam. Tak że Purim też było wesołym świętem. Potem pamiętam święto Pesach. Pakowało się tak zwany chumes [chamec, hebr.:zakwas], to znaczy okruszki chleba. Bo w Pesach nie wolno jeść pieczywa, tylko macę. I na Kazimierzu była taka piekarnia.. Szło się, taka duża łyżka drewniana była, i pakowało się na nią ten chumes, żeby go spalić. Ja z tym chodziłam, bo lubiłam tam chodzić. Jaka to była tradycja, na jakiej podstawie oparta, tego nie wiem. I był seder, taka kolacja, pamiętam, mace były na pewno. To się odprawiało tradycyjnie i potem ojciec szedł do kawiarni. Była taka kawiarnia, gdzie się spotykali malarze i tacy właśnie jak ojciec erudyci. Pan Koziół, krakowski dziennikarz, mi mówił, że ta kawiarnia była na ulicy Dietla i nazywała się „Pod szmatką”.

Brat, jak skończył 13 lat, miał bar micwę. Była wielka uroczystość, jak to u Żydów, nawet zasymilowanych. To był obowiązek. Dostał, to się nazywało, tefilin. Okręcało się to wokół ręki, tylko nie wiem, ile razy, nie znam tej tradycji, i na czoło się przywiązywało. Takie kwadraty, pudełeczka, nie wiem, co one oznaczały. Było bardzo dużo gości i wielka uroczystość. A ja byłam wściekła, bo mój brat dostał kupę prezentów, a mnie nic nie dali. I zaczęłam ryczeć, że ja nic nie dostałam. Wobec tego ojciec na drugi dzień poszedł i kupił hulajnogę, bo cały czas wyłam i tupałam nogami, że mój brat dostał tyle. Cały pokój miał prezentów, a dla mnie nic i nie chciał mi nic dać. Nawet się z nim pogniewałam i nie składałam mu życzeń, bo byłam taka zła. No, więc to też pamiętam. Przez 3 dni była wielka uroczystość, jadło się, piło się. A ja byłam wściekła cały czas i byłam szczęśliwa, jak się to już skończyło.

Zawsze rodzinne były urodziny dzieci. Zawsze. Przychodziły ciocie, wujkowie, dzieci wujków, dzieci cioć. Z rodziny ojca i z rodziny mamy. No i jeszcze babcia przychodziła. A jak już nie mogła przychodzić, to się szło do niej. Urodziny dzieci, ojca, czy mamy, bardzo hucznie się obchodziło. Bardzo. Zresztą myśmy już wtedy mieli, byliśmy jedni z pierwszych, patefon i piękne płyty. Już były Ordonki. [Hanka Ordonówna – „Ordonka” – gwiazda polskiej piosenki i kabaretu w okresie międzywojennym.] Ojciec nastawiał płyty, a ja kręciłam korbą.

Ojciec miał jakiś osobisty czar i bardzo dużo znajomych. U nas było zawsze pełno gości, właśnie tych przyjaciół ojca, którzy nie byli żonaci ani nie mieli dzieci. Żydzi, ale bardzo zasymilowani. No i miałam takie szczęście, że byłam maskotką dla nich. Zawsze mi coś przynosili. Jeden mnie malował stale. Weber [Henryk (Hersz) Weber (1904-1942), malarz i krytyk sztuki, swoje recenzje zamieszczał w „Nowym Dzienniku”], to był znany malarz żydowski. Niestety nie uchował się ani jeden obraz. Nikt nie oddał.

Chodziłam do państwowej podstawówki, jest ta szkoła jeszcze [istnieje budynek, jest w nim dziś szkoła podstawowa] – Starowiślna, róg Miodowej. Taka duża, czerwona szkoła. Nie do końca, gdzieś w piątej klasie mnie ojciec przeniósł [do żydowskiej szkoły im. Hilfsteina]. Bo w tej polskiej szkole

trzeba było wychodzić z religii i ojciec się bał, żebym nie miała jakichś kompleksów. W naszej klasie były może cztery Żydówki. Nie było żadnej bariery między nami a resztą dzieci. Miałam koleżanki. Sądzę, że to zależy od domu i od rodziców. Jeżeli rodzice w domu, przy dzieciach, nie mówią „to Żyd” albo „nie baw się, bo to Żydówka”, to wtedy nie ma żadnej różnicy. Tak było ze mną i z Esią – tak się nazywała – Teresa czy jakaś. Miała pieska i ja tam byłam bardzo zaprzyjaźniona. Rodzice jej mnie bardzo lubili i w życiu nie było mowy, że ja jestem Żydówka, a ona nie jest. A na przykład nasza służąca, to chodziła do kościoła na Bożego Ciała, tam jest piękny kościół, i mnie zawsze zabierała. – Tośka, chodź, idziemy do kościoła. To ja szłam. I tylko jak ksiądz kropił, to mówiła – Schowaj się pod ławkę, bo cię pokropi!. Ja się chowałam. Ale mówiłam rodzicom i jakoś mama nigdy nie miała nic przeciwko temu, bo zdrowo uważali rodzice, że czego się nauczę, to mi nie zaszkodzi.

Potem zostałam uczennicą Hebrajskiego Gimnazjum imienia dr Hilfsteina, który był jego założycielem. To była piękna szkoła, na Podbrzeziu [Szkoła i Gimnazjum Hebrajskie im. dr Hilfsteina mieściła się na Kazimierzu, przy ul.Podbrzezie 10], podobno na bardzo wysokim poziomie, o prawach państwowych. Wszystkie przedmioty były w języku polskim i dodatkowo był język hebrajski. Same żydowskie dzieci, ale już takie dobrze sytuowane, bo tam czesne kosztowało około 50-ciu złotych, to było strasznie dużo. [Dla porównania, ówczesne ceny gazet: dziennik – 10gr, tygodnik – 20gr, miesięcznik – 30gr.]. W szkole były bardzo dobre stosunki, bardzo dobre warunki. Szkoła miała ogromne podwórkę i cudowną salę gimnastyczną. W szkole było takie lokalne harcerstwo, raczej dziecinne. Nazywało się Hacofer [Hacofeh – syjonistyczne harcerstwo, założone w Gimnazjum Hebrajskim przez ucznia Michała Feldbluma.]. Nie wiem, co to znaczy. Była bardzo sympatyczna drużyna, ja należałam oczywiście do tego harcerstwa. Mieliśmy zbiórki raz w tygodniu, na naszym podwórku. Wycieczki były, pogadanki były. I w szkole była, bardzo piękna zresztą, sala muzyczna, gdzie mieliśmy raz w tygodniu muzyczne audycje. Zajmował się tym pan profesor Feldhorn [Juliusz Feldhorn (1901-1943) wybitny, uwielbiany przez uczniów pedagog, poeta, eseista i tłumacz. Używał pseudonimu Jan Las. Rozstrzelany w Wieliczce w 1943]. Bardzo znany polonista, napisał jakąś książkę. To był przyjaciel ojca. Zginął niestety. Najbardziej pamiętam pana Hamera, co miał sklepik na dole w szkole. Ponieważ ja w domu ze złości nie jadłam, to byłam głodna. Śniadanie przynosiłam i nie zjadałam. Ale kupowałam sobie za 10 groszy bułkę ze śledziem i mi bardzo smakowało. On był bardzo ważny, ten Hamer, zawsze mówił –Ja i pan dyrektor zarządziliśmy, że będzie tak i tak...I to utkwiło mi w pamięci.

Nam się żyło bardzo dobrze i u nas w szkole nie było biednych dzieci. I tak, jak już wspomniałam, to hebrajskie gimnazjum było raczej dla ludzi dobrze sytuowanych. Pod naszą szkołą była wystawa samochodów. Był taki kolega, Rath, podobno są w Wiedniu, przeżyli. Oni mieli firmę „Iskra”, ołówki i kredki. Bardzo bogata firma. On zajeżdżał pięknym, chyba Chevroletem, z lokajem w glacie [glace – franc.: glansowane; dosł. lodowe], białych rękawiczkach, który mu nosił teczkę. Znosił ją paniczowi do klasy, wkładał pod pulpit, zdejmował mu płaszcz i po lekcjach przyjeżdżał po niego. Libanówny, dwie siostry, przyjeżdżały dorożką z panną z welonem. Były takie opiekunki w granatowych welonach, do takiej panny zwracano się „Schwester”. Libanowie mieli kamieniołomy w Płaszowie, mówiło się na to „górką Libana” – tam potem był obóz. [Kamieniołomy i Wapienniki Krakowskie Liban S.A. Obóz pracy w Płaszowie miał wiele podobozów, rozsianych po okolicy. Jednym z nich był tzw. „Liban”, obóz karny Baudienstu czyli służby budowlanej.] I był jeszcze taki kolega, nazywał się Fangelbaum, rodzice mieli sklep „Muza Harmonia” na Grodzkiej na pierwszym

piętrze, to były płyty najnowsze i radia. Też byli bardzo zamożni. Lusia, koleżanka, która teraz była w Krakowie, mówiła właśnie, że Fangielbaum żyje i jest w Izraelu. Przyniosła mi tutaj zdjęcia kolegów i koleżanek sprzed wojny. Lusia, Lea Shinar, przyjechała na promocję swojej szóstej książki „Losy krzyżują się w Warszawie”. To jest podobno o getcie, nie miałam, kiedy przeczytać. Tu, w tej książce, są nasze koleżanki i koledzy szkolni, teraz mieszkający w Izraelu. Poldek Wasserman i Fredk Thieberger, wołaliśmy na niego Frycek. W czasie okupacji brali udział w zamachu na kawiarnię „Cyganeria”.

Na wakacje, tośmy jeździli do Zakopanego, a potem do Rabki. [Miasto uzdrowiskowe, położone u podnóża Gorców, ok.80 km od Krakowa.] Pamiętam, że ojciec napisał, może w 1937 roku, w esperanto o Kadenie. To był właściciel Rabki [uzdrowiska w Rabce]. Ojciec się zaprzyjaźnił z tym Kadenem od czasu, jak napisał „Rabka jako uzdrowisko”. Pan Kaden zaprosił ojca i myśmy za darmo mieli u niego piękne mieszkanie na wakacje w Rabce. Willa Pogoń się nazywało to miejsce. Kaden nam odstępował całe piętro i się jechało z kucharką, służącą, panną do dzieci i ze wszystkimi przynależnościami. I tam, co roku, mieliśmy piękne pomieszczenie. Zdaje się, tam było 5 pokoi na górze. Taka weranda, było gdzie gonić. Zawsze Kaden ojca już w lutym zapraszał i myśmy z tego korzystali. Jeszcze dzieci cioci Heli ze swoją kucharką jeździły z nami, bo tam było bardzo dużo pokoi. Chodziłam na inhalacje i na solanki, bo podobno mówiłam przez nos. Może dalej tak mówię, tylko już nie ma ojca i nie ma kto nade mną załamywać rąk... Miałam hulajnogę, miałam rower, najpierw na trzech kółkach, potem na dwóch, dużo koleżanek. Ojciec przyjeżdżał na sobotę-niedzielę i grał z Kadenem w tenisa, bo Kaden miał swoją piękną willę w parku, pływalnię i kort tenisowy. I zawsze nas zapraszał na lody. Pamiętam, była budka, w której sprzedawali taki kefir, laktol się nazywał. Dostawałam 10 groszy, żebym wypila szklankę tego laktolu. Mnie to bardzo smakowało, tylko się musiałam krzywić na złość. Bo taka byłam cholera!

Wiele moich koleżanek szkolnych mieszka w Izraelu. Stenia Holender, teraz nazywa się inaczej, nie pamiętam jak. Jej rodzice mieli w Podgórzu fabrykę zeszytów i zaopatrywali całą szkołę. Parę lat temu byliśmy w Ravensbruck zaproszeni przez burmistrza. [Prawdopodobnie chodzi o wielką uroczystość z okazji 50-tej rocznicy wyzwolenia KL Ravensbruck /obozu koncentracyjnego dla kobiet/ w 1995 roku.] Z wielką pompą nas tam przyjęli, w pięknym hotelu. Takie były namioty, a w tych namiotach stały, cudowna kuchnia, serwowali kucharze. Była grupa z Izraela. I taka pani miała prelekcję po hebrajsku, tłumaczoną na język polski. Przedstawiła się i mój mąż mówi – Zapytaj, może zna tę twoją koleżankę, tę Stenię Hollender, bo się tak samo nazywa. Jak ona skończyła, to ja podchodzę i mówię – Bardzo panią przepraszam, miałam koleżankę o tym samym nazwisku, czy pani może jest krewną? A ona tak patrzy, bo myśmy mieli wszyscy plakietki z nazwiskami. Ona spojrzała na mnie –Tośka, cholero, to ty mnie nie poznajesz?! Jakeśmy się tam zaczęły całować! Niestety, oni już wyjeżdżali, ta grupa izraelska. Były chorągiewki na każdym stole. U nas stały białoczerwone, u nich izraelskie. No i dała mi taką chorągiewkę na pożegnanie. Ale ona przyjeżdża do Krakowa z grupami młodzieży, bo jest z wykształcenia pedagogiem. Przyjeżdża prawie co roku i się wtedy widzimy.

W Izraelu jest także Lusia Helzel, z domu oczywiście. Jej ojciec był przyjacielem mojego ojca. Mieli w Rynku Głównym, koło Kościoła Mariackiego, duży sklep z radiami. Pamiętam, że tuż przed wojną przyniósł ojcu radio z magicznym okiem. Jeszcze to była nowość. On zawsze nam dostarczał te wszystkie patefony i płyty. Lusia była w obozach. W jakich, tego nie wiem. Ale zaraz po wojnie ją spotkałam. Mieszkałyśmy razem jakieś 2 lata i ona wyjechała.

Miałam bardzo dobrą przyjaciółkę z gimnazjum, Helę Erlich. Nasi rodzice się przyjaźnili i myśmy często z rodzicami jeździły dorożką do Lasku Wolskiego. Niestety zginęła w Kazimierzy Wielkiej. Ja ją jeszcze spotkałam podczas wojny. Oni wyjechali. Bo Żydzi musieli opuścić Kraków. [18 maja 1940 Żydzi otrzymali nakaz opuszczenia Krakowa do 15 sierpnia. W mieście mogli pozostać jedynie pracownicy ważnych gospodarczo przedsiębiorstw oraz ich rodziny.] Wolno było zamieszkać w odległości nie mniejszej niż 20 kilometrów od miasta. Oni pojechali do Kazimierzy Wielkiej i tam zginęli. W 1940 roku. Tam było szybko „Judenfrei”, czystka od Żydów. Niemcy wkraczali i ilu było Żydów, wystrzelali. Cała rodzina zginęła.

Uczyłam się dobrze, pisałam też wierszyki. Raz wygrałam porcelanę z Ćmielowa, talerzyk z filiżanką. Już nie pamiętam tego wierszyka, ale wiem, że wielka radość była w domu. Napisałam coś o Ćmielowie i wygrałam. W ogóle lubiłam pisać. W szkole, na lekcji polskiego, każdy miał napisać jakąś książeczkę. Ja napisałam „Siostrę Marię”. O takiej pielęgniarce, nie wiem skąd mi się to wzięło, bo nigdy nie widziałam żadnej pielęgniarki, ani o szpitalu nic nie wiedziałam. Napisałam, jak ona się poświęcała dla chorych dzieci. Bardzo się wszystkim ta książka podobała i ojciec dał ją oprawić. W domu była aż do wojny, ale niestety się nie uchowała.

Ojciec szalał na punkcie nauki języków. Miałam dużą łatwość w przyswajaniu ich, natomiast brat był specem od matematyki, to był ścisły umysł. W esperanto świetnie wszyscy mówiliśmy. Z tym, że ja już esperanto nie pamiętam. W jidysz się u nas w ogóle nie mówiło. Książek mieliśmy pełno w domu. Biblioteka była ogromna, ale nie interesowały mnie wtedy te książki raczej. Nie zaglądałam za bardzo. Były encyklopedie w różnych językach. Jedyne, co mnie zajmowało, to atlas geograficzny, gdzie były wszystkie stolice państw, często do niego zaglądałam. Panna Brandwein miała swój pokój i miała chłopaka. On też uczył w szkole. Nie wiem, czy się ściskali, czy całowali, pół klasy do mnie przychodziło i patrzyliśmy przez dziurkę od klucza, co oni tam robią. Dla nas to była rewelacja.

Moja pierwsza miłość, to był kolega z klasy. To nie tylko ja się kochałam, ale cała klasa się w nim kochała. Piękny chłopak, on był wiedeńczykiem i przyszedł do nas dość późno. Bo się sprowadził do Krakowa. Jak wojna wybuchła, to wyjechali, jego ojciec miał paszport austriacki. I nie wiedziałam, co się z nim stało, aż 10 lat temu był zjazd naszej szkoły w Izraelu. On ze Stanów przyjechał. I wtedy koleżanki powiedziały mu, że ja żyję i on do mnie napisał. Pisał, że będzie w Krakowie, czy ja się zechcę z nim spotkać. No, więc oczywiście, spotkaliśmy się 2 lata temu. Wspominaliśmy dawne czasy i ja lepiej pamiętałam, gdzie on mieszkał. Na ulicy Sarego, w takim pięknym domu, który nazywał się Dom Wola, tam już przed wojną były domofony i winda. Ja tam często chodziłam, bo lubiłam jeździć tą windą, zresztą jego rodzice mnie bardzo lubili. I on prosił mnie, żebym ja go zaprowadziła tam, gdzie on przed wojną mieszkał. Podjechaliśmy do tego domu i okazało się, że jeszcze żył jakiś pan, który go pamiętał. Rozstaliśmy się serdecznie, ale już nie tak serdecznie, jak przed wojną. Dzieciństwo miałam beztroskie i wspaniałe. Trwało 14 lat. Pamiętam wszystko jak najcudowniej. Jak najcudowniej! Miałam wszystko, o czym tylko dziecko może zamarzyć.

Mój brat Henryk zdał maturę w 1939 roku, w Gimnazjum Hebrajskim na Podbrzeziu. I miał wyjechać do Anglii na studia, na budowę okrętów, to pamiętam. Bardzo był zdolny i właśnie tam mu ojciec załatwił studia. Ale ponieważ mówiło się o wojnie, to już rodzice go nie puścili, bo trzeba być razem. Brat zdał maturę w maju, a we wrześniu wybuchła wojna.

Mama została zastrzelona w 1939 roku, u nas w domu, przez Niemców, którzy zabierali meble. [Okupanci grabili mienie nie tylko w akcjach rekwirowania określonych dóbr. Wchodzili także do mieszkań, szczególnie żydowskich, i brali, co im się podobało.] Broniła [mebli] i ją zastrzelili. I nie wiem, gdzie jest pochowana. Nie wolno było pogrzebów robić. Gdzieś ją wieźli do Podgórza i tam, nie wiem, czy do takiego rowu wspólnego... Nic nie wiem. Ja chodziłam do szkoły wtedy, bo jeszcze szkoły nie były zamknięte. I tyle pamiętam, że wróciłam, dozorczyńni nasza stała w bramie i – Tosiu, nie masz już mamusi!. Tyle wiem, nikogo nie było przy tym. A meble i tak zabrali. Jeszcze ojciec mówi – Zdejm opaskę i zobacz, gdzie oni te meble wiozą, bo może odzyskam. Ja, głupia leciałam. Na Wawel wszystko wieźli. Leciałam za tym wozem. Opaskę miałam w kieszeni. Jak ktoś szedł, Niemcy, to sobie ubierałam, bo to groziło przecież śmiercią. [1 grudnia 1939 wszedł w życie nakaz noszenia opasek przez ludność żydowską. Na początku za brak opaski groziła tylko grzywna. 5 i 6 grudnia otoczono Kazimierz kordonem policji, rewidowano mieszkania, rekwirując pieniądze i kosztowności / w praktyce – inne cenne rzeczy także/. Zabite w czasie tej akcji osoby, pochowano we wspólnym grobie na cmentarzu żydowskim w Podgórzu. Cmentarz zrównano z ziemią w czasie budowy obozu koncentracyjnego w Płaszowie. Prawdopodobnie wtedy zginęła pani Gustawa Nussbaum, matka pani Silberring. 11 grudnia rozwiązano żydowskie szkoły.]

Pamiętam, jak ojciec z kolegą, właśnie tym Dreherem, z którym pisał słownik i wydawał różne takie pisma, rąbali te wmurowane, wbudowane meble, żeby ich Niemcy nie zabrali. Rąbali te moje szafy, wszystko, pamiętam, siekierą rąbali. Futra paliło się, żeby nie oddać Niemcom. Mojej mamy futra.

Ja byłam głównym zaopatrzeniowcem podczas wojny. Ojciec się bał, bo musiał tę opaskę nosić, brata się bał wysłać, bo chłopak, i mnie się posyłało. Ojciec miał zaprzyjaźniony sklep na Floriańskiej, firma Baczyński – wódki. To była znana firma. I ojciec mnie tam posyłał po alasz [likier kminkowy przyprawiony gorzkimi migdałami, anyżkiem i skórą pomarańczową]. Chowałam butelkę pod sukienkę i przynosiłam, bo ojciec sobie lubił do kolacji wypić kieliszeczek. Ten pan nam zawsze dawał, choć nie wolno było Żydom chodzić do sklepu, nie wolno było nic sprzedawać Żydom. Na Kazimierzu były 2-3 sklepy i jedna kawiarnia dla Żydów. A tak, to było „Żydom wstęp wzbroniony” wszędzie. Ale mi się jakoś udawało, że bez przerwy pod sukienką coś przynosiłam. Jakoś sobie dawałam radę, mimo, że nigdy przedtem nie robiłam zakupów. Przecież mnie nikt nie uczył w domu, co mam kupować. Przed wojną, to w ogóle było nie do pomyślenia, żeby na miasto dziecko wysłać, żeby kupowało. [Nie było to możliwe w świecie, w którym żyła pani Teofila.] No, ale jakoś sobie radziłam.

Jak moja mama zmarła, to ciocia Hela nas wzięła do siebie. Bo była najbliższa mojej mamie, najbardziej się kochały, a jej mąż zmarł w 1937 roku. Koło tego Templu [synagoga] było niebezpiecznie chodzić, bo zatrzymywali. Jeszcze jakeśmy na Miodowej mieszkali, to widziałam przez okno, jak Żydom obcinali pejsy, katowali... Właśnie naprzeciwko nas, koło Templu, na ścianie zabijali... Dzieci zabijali – to jeszcze widziałam. A potem było już bardzo niebezpiecznie, a ciocia mieszkała na Jasnej, to już nie był ścisły Kazimierz. Tam też było niebezpiecznie, ale nie tak, jak na Miodowej, bo to był typowy Kazimierz i sami Żydzi, a na Jasnej było różnie. Już w domu obok nie mieszkali Żydzi. Ciocia też miała bardzo piękne, duże mieszkanie. Tam byliśmy aż do pójścia do gietta. [Dawniej pisano: ghetto. Pani Teofila wymawia to słowo:gietto.]. Ciocia zmarła w czasie wojny na nowotwór. Leży pochowana w Miechowie, tylko nie ma pomnika. Nie wiemy, gdzie leży. Zmarła chyba w 1942 roku.

Do getta to się szło jeszcze z rzeczami i tam przydzielili nam jeden pokój na 3-4 rodziny, poprzedzielany szafami. Ja spałam za jedną szafą, z ojcem i z bratem, druga rodzina spała za drugą szafą, no i tak się żyło. Ojciec w getcie pracował w szpitalu. Nie wiem, co tam robił, bo przecież z medycyną nie miał nic wspólnego, ale go wzięli, bo był świątły. Chodził rano do pracy. Ja zostawałam w domu, brat też pracował. On gdzieś z ojcem chodził, nawet nie pamiętam, gdzie. Potem ojciec się postarał, żebym była starsza o 2 lata, wyrobił mi jakieś papiery. Kupił takie drewniaki na wysokim obcasie, żebym była wyższa i pracowałam. To była fabryka karbidówek, zresztą żydowska fabryka, przejęta przez Niemców. Naprzeciw getta, Lwowska 2, mijaliśmy druty i to było już po [tak zwanej] aryjskiej stronie. I tam pracowałam z ojcem Polańskiego Romka. [Roman Polański ur. 1933, reżyser, aktor. Uciekł z krakowskiego getta w dniu likwidacji 13 marca 1943 i przetrwał, ukrywając się u chłopskiej rodziny.] Pracowaliśmy na 3 zmiany. Tak że czasem wracałam do domu, to ojca nie było, mijaliśmy się po prostu. A jak miałam nocną zmianę, to w dzień spałam. Tam, w getcie, byłam cały czas głodna. Już bym jadła wszystko, ale nie było co. Przecież nam nie płacili. Przecież myśmy za darmo pracowali. [Mimo tego każdy chciał być zatrudniony, bo to broniło przed wysiedleniem z getta.] Ojciec zdobywał gdzieś to jedzenie. Nie wiem, pieniądze jeszcze miał, czy sprzedawał coś, nie wtajemniczał mnie. W każdym razie zupełną przynosił z tego szpitala. No i czasem przyniósł, czasem mu widocznie nie dawali. Wszyscy tam mieliśmy żółtaczkę. Ona mechaniczna chyba była, bez gorączki i trzeba było jeść coś słodkiego podobno. Ojciec, nie wiem skąd, zdobywał jakiś dżem z buraków. A wtedy nie można patrzeć na słodkie rzeczy. Mimo, że byłam głodna, było mi niedobrze. Ojciec nawet w getcie się jeszcze uczył hiszpańskiego. Pamiętam, jak się ta pani nazywała, Gusta Borghen, co przychodziła do ojca, uczyła go. Ja tam podsłuchiwałam trochę, ale nic z tego nie wynikło.

Potem, jak była likwidacja getta [13 marca 1943], to kazali się zebrać na placu. Tam, gdzie jest apteka, teraz muzeum. [Muzeum Pamięci Narodowej „Apteka pod Orłem”, plac Bohaterów Getta 18, wcześniej: plac Zgody. Tę jedyną na terenie getta aptekę prowadził Polak, Tadeusz Pankiewicz, odznaczony m.in. medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”.] Ze sobą wolno było wziąć tyle, ile się uniesie. Więc biedny ojciec, ubrał mnie jak cebulę dosłownie, bo ile ja udźwignę przecież?! No i plecak z książkami miałam, taki tornister i resztę w małej walizeczce. Ojciec też miał walizkę. Na placu Zgody stały ciężarówki i Niemcy bardzo grzecznie kazali podpisać walizki i ładować na ciężarówki. Mówili, że wszystko dostaniemy w Płaszowie. To była perfidia, chodziło o to, żebyśmy nie krzyczeli, żebyśmy grzeczni byli. Guzik, przecież nic nie przywieźli. Potem się okazało, że jesteśmy nago, boso w tym Płaszowie. Szliśmy pieszo z tego placu Zgody, prowadzili nas ulicą Wielicką do obozu, do Płaszowa. Dzieci szły oddzielnie, mężczyźni oddzielnie i kobiety oddzielnie. Mnie dali do tych dzieci...

W Płaszowie byłam w innym baraku, a ojciec z bratem w innym, to już straciłam z nimi kontakt i nie wiedziałam, gdzie są. Nie wolno było chodzić między barakami. Już nic nie wiedziałam. Kiedy ich zabrali, gdzie ich zabrali. Nic, kompletnie nic. W Płaszowie byłam niedługo, bo mnie wzięli do Schindlera, do tej Emalierwaren Fabrik na Zabłociu. [Fabryka Naczyń Emaliowanych Oskara Schindlera /Deutsche Emailwarenfabrik/ na krakowskim Zabłociu przy ulicy Lipowej 4. Filia obozu w Płaszowie.] Tam już byłam do końca, aż zlikwidowali Płaszów [w październiku 1944] i do Oświęcimia poszłam od Schindlera.

U Schindlera to mi było bardzo dobrze. Bo on się starał, żebyśmy mieli to jedzenie. Poza tym pracowaliśmy z Polakami i jak ktoś miał na mieście znajomych, to oni przekazywali listy. I nam

przynosili butki. Czy ktoś miał coś do sprzedania, to brali, sprzedawali i za to, co innego przynosili. Bardzo pomagali. Żyje jeszcze Polka, Zofia Godlewska-Goldsteinowa, mieszka na ulicy Smoleńsk, która z matką pracowała u Schindlera. I one były naprawdę biedne, a najbardziej nam pomagały. Zosia nam przносиła listy, to było narażenie życia. Była w moim wieku. Ja po wojnie ją spotkałam na Szewskiej. Mówię – To ty żyjesz, to ty żyjesz?! A ona – Tak. I Pan Bóg mi wynagrodził, bo wyszłam za Żyda i mam wspaniałego męża. Taki był lekarz, Goldstein, on był neurologiem, ale niestety zmarł. A ona była pielęgniarką u Narutowicza [jeden z krakowskich szpitali]. Jak ten mąż zmarł, to ona jakoś nie miała ochoty na spotkania, więc nie chciałam się narzucać i po prostu kontakt się urwał.

No i z Płaszowa nas wzięli, według tej listy Schindlera, do Oświęcimia. [W sierpniu 1944 zlikwidowano podobóz na Zabłociu i Żydów Schindlera przeniesiono do Płaszowa. Schindler organizował przeniesienie fabryki do Brunnlitz /obecnie Czechy, wtedy:Sudetenland/. 15 października 1944, 2000 mężczyzn, w tym 700 od Schindlera wysłano transportem do KL Gross Rosen i po 2 dniach niepewności, do Brunnlitz. 21 października 1944, 2000 kobiet, w tym 300 od Schindlera, wysłano do Auschwitz. Osadzono je w osobnych barakach i po 3 tygodniach przewieziono do Brunnlitz.] W Oświęcimiu staliśmy na rampie kolejowej, ponieważ Schindler się nie godził, żeby nas dawali do... na te bloki, bo chciał nas mieć wszystkich. Cekał na transport, który miał z Austrii przyjechać. Ja się wtedy nie orientowałam, czy on za to płacił, czy nie płacił, czy jakieś miał chody. I rzeczywiście nasza grupa koczowała przy torach kolejowych i czekaliśmy na wagony. No i wreszcie, ja nie wiem, po ilu dniach, czy to były 3 dni, czy 5, nie powiem, bo nie pamiętam, zajechały te wagony, takie ciężarowe. I zaczęło się. – Wszyscy od Schindlera wstać! A było koło dwóch tysięcy osób. Cały ten obóz jego. On powiedział – Nie martwcie się, wszyscy ze mną pojedziecie. No i byli odemani. To była tak zwana żydowska policja. Odeman, to był Ordnungdienst, porządkowy. To byli Żydzi, też więźniowie. Schindler wytypował trzech tych odemanów i oni mieli nas wprowadzić do wagonów, wedle listy. I tak się stało, że jeden z odemanów, którego zresztą spotkałam po wojnie, mnie nie wyczytał. Tylko kogoś innego zamiast mnie. Dziesięciorga nas nie wyczytał. Myśmy tak stali, a Schindler był przy tych wagonach. Biegnę do niego, patrzę, wagony już ruszają, już zamykają te wagony. I mówię mu, że mnie nie wyczytał. A on – Jak to nie?! – bo mnie nawet znał osobiście, to znaczy wiedział, że ja pracuję, bo mnie znał z obozu. Woła tego odemana, a ten – Zaraz, zaraz, zaraz. Jak mnie popchnął, jak mnie sprął tą pejcą! [tym pejczem]. Wagony ruszyły i myśmy w dziesiątkę zostali, to było w Birkenau. [Auschwitz I (Oświęcim) był obozem koncentracyjnym; Auschwitz II - Birkenau (Brzezinka) był obozem śmierci.]. Ja go spotkałam po wojnie. – To ty żyjesz?! – Bo myśmy byli przeznaczeni na śmierć. Bo wiadomo było, że jakeśmy z tym transportem poszli, to nas wyślą do gazu. Ale nas dali w Birkenau na bloki. Wprawdzie były selekcje, ale jakoś mi się udało, że szłam do tego gazu i mnie wzięli z powrotem. No i stamtąd przesłam do Oświęcimia, bo tam brali.

Ja jeszcze, o dziwo, świetnie wyglądałam. Bardzo dobrze. Nie byłam nigdy mużulmanem [Mużulman – więzień, który utracił wolę życia, znajdujący się na granicy śmierci z głodu, wycieńczenia i rozpacz]. Bo tych brali od razu do gazu. I oni wtedy wybierali na Auschwitz. I tam, za tym „Arbeit macht frei” witał napis „Jedem das Seine” [niem. każdemu, na co zasługuje]. Tam było 6 bloków pokazowych, które były tak zwanym Muster Lager. Tam Czerwony Krzyż przyjeżdżał oglądać, jak my świetnie wyglądamy, jakie mamy warunki. No i dzięki temu, że ja bardzo dobrze wyglądałam, taka Obserwierka [Aufseherka – niem.: strażniczka, dozorczyń] niemiecka nas wybierała, wzięli

mnie tam. Tam były bloki murowane, woda była, myśmy się szczypały, czy my jesteśmy na tamtym świecie, czy na tym. Nie wierzyłyśmy, że to jest prawda. Jedzenia tam nie było lepszego, raz dziennie ta kromka chleba. Ale woda była i ubikacje były, nie było tych latryn. (W Brzezince to nas wypuszczali 3 razy dziennie do latryn, a jak ktoś nie mógł wytrzymać, to robił pod siebie. A potem strzelali do tych, co pod siebie zrobili).

No i stamtąd, dopiero jak była likwidacja [Muster Lager], wzięli mnie na blok doświadczalny, bo też dobrze wyglądałam. I ja byłam bardzo szczęśliwa, bo na tym bloku dawali nie kromkę chleba, tylko dwie. I tak mi zazdrościły wszystkie koleżanki, że ja się dostałam na ten blok... Nieświadome, co tam może być. I tylko dlatego, że dali mi tę kromeczkę chleba więcej. A tam nam wszczepiali bakterie tyfusu i robili antidotum. [Po inwazji na ZSSR, w armii niemieckiej zaczął szerzyć się tyfus. W Buchenwaldzie prowadzono badania nad skutecznością szczepionek i różnych substancji chemicznych mających chronić przed zarażeniem tyfusem. 75% więźniów dostawało szczepionki lub leki, 25% nic nie podawano, po 3 tygodniach wstrzykiwano wszystkim zarazki tyfusu. Śmiertelność więźniów wynosiła 90%. Opracowania nie podają, jakie badania nad tyfusem robiono w Auschwitz, wspominają jedynie, że „doktor Mengele eksperymentował także z chorobami zakaźnymi” m.in. tyfusem, badając, jak ludzie należący do „różnych ras” znoszą poszczególne choroby zakaźne.] Oni robili na nas szczepionki na front dla Niemców. Dzięki temu, że te moje bakterie się przydały, nie poszłam do gazu, tylko ciągle byłam. Nie wiem dokładnie, co robili, bo ja miałam 40 stopni gorączki. Oni wszczepiali tyfus i ja nie wiem, czy przechodziłam, czy nie przechodziłam...I tam byłam aż do likwidacji Oświęcimia.

Jak była ta likwidacja, wszyscy, co w ogóle się mogli podnieść, szli. Ale byli tacy, co już leżeli, ci mużułmanie tak zwani, takie szkielety. Oni nie mogli się ruszyć, więc Niemcy do nich strzelali, ale nie zdążyli [wszystkich zabić] i oni zostali oswobodzeni. Okazało się, że Rosjanie już byli w Krakowie [18 stycznia 1945]. Nikt z nas tego nie wiedział. Ci starsi więźniowie, to jakieś mieli przecieki i zostawali, udając mużułmanów. Ale ja nic nie wiedziałam, nawet, która godzina jest. I jak kazali iść, to szłam, bo grozili, że kto nie pójdzie, to do gazu. Ale do gazu już nie dawali, bo sami uciekali.

I to było najgorsze, taka droga, nazywała się marszem śmierci, bo się szło... Pieszko szłam do Lipska. Pieszko! Po takim śniegu. Wtedy była zima, to było w styczniu, 23 stycznia o ile pamiętam. [Oświęcimskie marsze śmierci wyruszały 17 - 21 stycznia 1945; w sumie 56 tys. więźniów.] Śnieg potąd [po ramiona, p. Tosia pokazuje], 20 stopni mrozu, a ja w jednym bucie byłam. Holenderka się to nazywało. Takie drewniaki, co były właśnie w Oświęcimiu typowe. To, jakieśmy szły, ten dźwięk, którego nikt nie mógł znieść, tych drewniaków. Takie to było charakterystyczne... I ten śnieg, czerwony dosłownie. Bo jak ktoś ustał, stanął na chwilę... Nigdy bym nie pomyślała, że można spać, chodząc. Myśmy się tak nauczyły, na zmianę z koleżankami. We czwórkę szłyśmy w szeregu, żeśmy się zmieniały i osoby z boków podtrzymywały śpiącą. Ja potrafiłam spać, idąc. Kto na chwilę stanął, to... Droga była ułana trupami, na tym białym śniegu te czerwone plamy krwi. Okropne. Strzelali, jak tylko... wystarczyło na chwilę stanąć. Tak żeśmy się ratowały, zresztą wszystkie cztery przeżyłyśmy. Ja miałam, zmarła dwa lata temu, koleżankę, bardzo się przyjaźniłyśmy. Helenka Groner. Dużo ode mnie starsza, bo ona już była mężatką wtedy. Miała syna w moim wieku, zginął w Płaszowie. Mąż też zginął w Płaszowie, ten Groner. Ona ze mną była od Oświęcimia. Mieszkałyśmy gdzieś obok siebie, potem, jak był ten marsz śmierci, tośmy razem poszły i razem już byłyśmy do końca.

Ta droga była straszna. Straszna. No i tak żeśmy doszli do obozu w Lipsku. Tam dawali nam jakąś pietruszkę i mimo, że człowiek ginął z głodu, to nie mógł tego jeść, takie świństwo. No i tam byliśmy, to był przejściowy obóz i dali nas do Buchenwaldu. W Buchenwaldzie już było nie tak strasznie źle, może ciut lepiej. Ale żeby dobrze, to o tym w ogóle mowy nie ma. A potem tam była fabryka amunicji. Pracowaliśmy i robiliśmy jakieś, nie wiem, dekle. Tam nie tylko Żydzi byli. Tam byli Węgrzy, Cyganie. No i potem poszliśmy do Ravensbruck.

W tym Ravensbrucku, to się wszyscy modliliśmy, żeby nas dali z powrotem do Oświęcimia. Bo tego już naprawdę nie da się opisać. Najgorszy obóz chyba, jaki był. Przede wszystkim nie byliśmy w bloku, tylko takie namioty były. Takie ścięte, jak namiot, to się nazywało celta. [Zelt, niem.: namiot – nieprzemakalna tkanina namiotowa]. Pod celtą. I nas tam wtłoczyli, nie wiem ile osób, do takiego namiotu. To tak jakby do namiotu na 4 czy 5 osób, dać 200. Tylko tak można było, jedna na drugiej, siedzieć. Pod siebie się robiło, nie wypuszczali nas w ogóle. Do siebie, na siebie, mnie się łało na głowę, już nawet nie wiem, kto na mnie łał... No i takeśmy siedzieli. To był najgorszy obóz, ten Ravensbruck. Najgorszy.

Pewnego dnia, jakiś niby Czerwony Krzyż przyjechał. To była akcja Bernadotte. [Pod koniec marca 1945 obóz otrzymał rozkaz ewakuacji. Szwedzki hrabia, Folke Bernadotte, wynegocjował od Heinricha Himmlera, dowódcy SS, przekazanie Czerwonemu Krzyżowi 7000 więźniarek Ravensbruck. Akcja miała miejsce 22-28 kwietnia 1945]. Brali z Ravensbrucku do Szwecji. Ale my, jak widziałyśmy samochód ciężarowy z plandeką, to wiadomo było, że to jest na śmierć. I wszystkiesmy uciekały. Nikt się nie dał... Z trudem złapali może 100 osób z tych tysięcy. Po wojnie się dowiedziałam, że były w Szwecji. A ile wtedy padło trupów, bo się nie dałyśmy złapać! Po prostu człowiek uciekał, to oni strzelali. Potem się okazało, że to było jakieś porozumienie między Niemcami a Szwecją. Gdybym była wiedziała, to bym wsiadła. Ale kto mógł wiedzieć?!

No i potem tam panował tyfus. Straszne, to już naprawdę najgorszy obóz był z tych wszystkich, w których byłam. Był tyfus, to się Niemcy bali trochę epidemii i nas, zdrowych, przesłali do Malchov. To taka mała miejscowość pod Ravensbruckiem, ten obóz należał do Ravensbruck. I tam mnie oswobodzili najpierw Alianci, a potem Rosjanie weszli. [Rosjanie wyzwolili Ravensbruck 29/30 kwietnia 1945].

Alianci, to się dziwili, jak my wyglądamy, ale się bliżej nie interesowali. Byłyśmy czarne strasznie. Z brudu też, ale pod koniec, to nie w barakach się mieszkano, tylko na polu byłyśmy, gdzieś pod drzewami. – Rany boskie, jakie wyście czarne! A co wyście robiły? No i myśmy prosiły o jedzenie, mieli jakieś konserwy, to nam dali, ale nikt nie mógł jeść. Bardzo dużo koleżanek zmarło, jak zjadły. Bośmy się rzucili, ale nie byliśmy w stanie. Mnie się wydawało, że ja zjem pół świata, a tymczasem jeden kęs i już i nie można było jeść.

Rosjanie w tym Malchov strasznie się zachowali. Zabili moje dwie koleżanki. Zgwałcili i zabili. A ja głupia jeszcze, bo poszłam koleżanek szukać. Nie zdawałam sobie sprawy, ja byłam idiotka. I poszłam, pytam się tych Rusków, gdzie one się podziały. I oni coś machnęli ręką. Mogli mnie tak samo zgwałcić i zastrzelić.

Myśmy w ogóle nie wiedziały, że się wojna skończyła. Tylkośmy stały tam, już nie było obozu, ani niczego, a bałyśmy się wyjść. Niemcy kazali stać, tośmy stały. Przeszli Alianci, przeszli Rosjanie, ciągleśmy nie wierzyły. Przecież nie było radia, nic nie było. Dopiero szli jacyś Grecy, tacy

oberwańcy – Hitler kaput! Hitler kaput! – mówili. Coś tam nam pokazywali, że wojna się skończyła, że możemy iść do domu.

Jak tylko nam powiedzieli, że jesteśmy wolni, ja od razu zaczęłam działać. Do wójta leciałam, że chcemy wracać do Polski. Przyszedł do nas i powiedział, że bardzo prosi, żebyśmy się z nikim tutaj nie zaprzyjaźniali, nie chodzili do domów. Bardzo prosi. Że on nam da chleb, przywiezie, na drogę. Bo on nie ręczy, co tu może być. Przecież to były Niemcy. I on bardzo prosi, żebyśmy stąd jak najszybciej poszły. No i tak się też stało. Rzeczywiście nam dał chleb i zaprowadził nas na te tory, żebyśmy wsiadały, jak coś pojedzie. Czekaliśmy gdzieś tam, w tym Malchov, na ziemi, na torach, aż przyszedł jakiś pociąg. Siadło się, nie wiedząc, gdzie się jedzie. Byle naprzód. Potem nas wysadzali, wsadzali, wysadzali...

W jednym pociągu już byli szabrownicy z Polski [szaber, hebr. szawer: plądrowanie; słowa zaczęto używać w getcie na określenie przeszukiwania mieszkań po wysiedlonych do obozów rodzinach] i wtedyśmy dopiero wiedziały dokładnie, że się wojna skończyła, że Kraków wolny. Już jeździli do Niemiec na te szabry Polacy. Ale nam guzik dali. Ja wspaniale umiałam kraść. Tak świetnie ukradłam cukier! Leżał cukier w kostkę. Schowałam do majtek. Zawiązałam sobie w nogawce. I pamiętam, dzisiaj to się śmieję, że każda prosiła, żeby, chociaż dać polizać... Bo ja się dzieliłam, nie tak, żebym tylko dla siebie wzięła.. Ja z tych majtek wyjmowałam i każda lizała ten cukier. Był taki dobry! No i na pola się szło, jak pociąg stał w polu. Jadłyśmy pokrzywy, to podobno bardzo zdrowe, bardzo dużo witamin. I miałam taki jakiś woreczek, nie pamiętam, skąd go zdobyłam. Tam sobie wkładałam te rzeczy. Jakieś zboże ukradłam. Kradłam, co się dało. Nie naszym, tylko jak sobie ktoś z tych szabrowników na chwilę plecak położył. Widziałam, że tam w plecaku ma bułki, jak usnął, to myślałam: po co jemu, jak on ma tyle, a my jesteśmy głodne?

Nawet człowiek nie myślał o tym, żeby ktoś pomógł. Alianci przeszli, nawet się nie zapytali, czy jesteśmy głodne. Tylko, że czarne jesteśmy. Rosjanie weszli, zgwałcili i zamordowali, poszli. Myśmy tylko dalej uciekały. Dwie koleżanki zginęły potem, po drodze jeszcze. To, co ukradłam, to ukradłam, a reszta... nie mogłam liczyć na nic.

Wróciłam w lipcu. Leciałam do Krakowa jak wariatka. Umówiliśmy się w naszym domu, u dozorczyń, kto wcześniej wróci. Ojciec, brat, i ja, że kto wróci, to tu, i wszystkie wiadomości do dozorczyń. No to leciałam, myślałam, że ojciec na mnie czeka, mieszkanie czeka i już będę się uczyła, już mnie nic nie będzie obchodziło. Jak przyjechałam, zderzenie z rzeczywistością, to dopiero był dramat. Gorszy jak w obozie. To, co ja czułam, jak się dowiedziałam, że nikogo nie ma, że nikt z rodziny nie przeżył, tylko ja. Ale nie miałam gdzie pójść, stałam na ulicy i płakałam. I chciałam wrócić do obozu. Bo tam przynajmniej była ta prycza i się ktoś mną zajmował...

Jak zadzwoniłam, jedyna, co mnie wpuściła, to była nasza dozorczyń – Tośka, jesteś głodna? Bo ona była sprzed wojny, to mnie znała. – Chodź, chodź do domu. I krzyczy – Właścicielka wróciła, właścicielka! A pan jakiś – To niech idzie do diabła, nie ma żadnych właścicieli, won stąd! Ja mówię – Proszę pana, ale ja z ulicy widzę, nasze lampy wiszą. Proszę mi oddać te lampy, bo ja nie mam z czego żyć. Ja sprzedam, niech pan kupi. Te lampy ładne były, takie żyrandole. W ogóle mi nawet nie otworzył, pyskował przez drzwi. Stałam, ta biedna dozorczyń mi dwa kartofle ugotowała. Sama dużo nie miała, ale przynajmniej mi ugotowała te kartofle. Jadłam, bo przecież byłam głodna cały czas. Tu nikogo nie ma, co ja zrobię? Ani pieniędzy, do mieszkania mnie nikt nie chciał wpuścić, rzeczy mi nikt nie chciał oddać. Co ja mam zrobić? Bez żadnej edukacji. Dobrze, że umiałam pisać i

czytać. Przynajmniej tyle. Przecież nawet by mnie nikt nie przyjął do pracy, bo nic nie umiałam.

Na ulicy Długiej 38 działał Komitet Żydowski, tam mnie skierowali. No i tam wywieszało się kartki, kto wrócił. I tam były tysiące tych kartek na ścianach. Był duży podwórzec, tam nam wyłożyli słomę i można się było przespać. W południe się dostawało zupeł. A jak ktoś był już tak zupełnie obdarty, jak ja, w jednym bucie i bez dessusów [dessus, franc. pod spodem, bielizna], bez majtek, to tam można było dostać. Wprawdzie nie na miarę, ale coś można było dostać.

Przyjechałam do Krakowa z Helenką Groner. Z tym, że ona miała siostrę i miała gdzie iść. Ta siostra wyszła za męża za pana Lubelskiego i jej rodzice siedzieli na pokucie, bo Lubelski nie był Żydem. Zakochała się i wyszła za niego. On ją uratował, ten Lubelski, ale nikt nie wiedział, jej się tak wydaje, że ona jest Żydówką. Ona była wściekła, jak Helenka wróciła, nie chciała jej przyjąć, żeby się nie wydało. Strasznie się tego bała. Rodzice Helenki przed wojną mieli hotel Polonia w Krakowie, a mąż duży sklep z koronkami na Szpitalnej. Pokazywała nawet, w którym miejscu. Potem Helenka poznała jakiegoś Czecha, też Żyda i wyszła za niego za męża. Świetnie jej się powodziło, mieszkała w Ostrawie, miała tam restaurację. Nie pamiętam, jak po tym drugim mężu się nazywała. W każdym razie ze mną była Gronerowa. Zmarła 2 lata temu.

Wywieszałam kartkę, że jestem, że żyję, ktokolwiek z rodziny by przeżył, żeby się podpisał. Po miesiącu, Korczakowie, tacy znajomi rodziców, znaleźli moją kartkę. Napisali, że mieszkają na Karmelickiej i żebym przyszła. Poszłam tam, to mnie przygarnęli. Mieli bardzo duże mieszkanie, świetnie się im powodziło, bo on był dentystą. Zapisali mnie do szkoły, bo musiałam mieć jakiegoś opiekuna. No i tam byłam aż do ich wyjazdu. Oni wyjechali do Izraela w 1948 roku. Pani Korczakowa, Gina Korczak, niedawno zmarła. Jej mąż już dawno nie żyje, ale ona zmarła jakiś miesiąc temu, właśnie miałam wiadomość z Izraela.

Gdzie ojciec i brat zginęli, nie wiadomo. W obozach. A jak mi mówili, to znaczy, jak się dowiadywałam przez Czerwony Krzyż i tych, co wrócili, to obydwaj zginęli prawie pod koniec wojny, w 1945 roku. Ale czy to jest prawdziwe, to trudno powiedzieć. Bo nie ma świadków. W każdym razie oni nie wrócili.

Ojciec mi mówił, gdzie co zostawia, nawet miałam napisane na kartce, ale nikt mi nie chciał nic oddać. Powiedzieli, że nie mają, że im Niemcy zabrali, albo, że się do tego przyzwyczaili.

Zdjęcia się uchowały, bo ojciec je oddał pani Władzi. Nie wiem, skąd ojciec ją znał, ale przychodziła do nas i ja jej po wojnie szukałam. I ona jedna mi oddała wszystko. To znaczy zdjęcia, puderniczkę mamy srebrną, którą mam do dnia dzisiejszego i pierścione. Nic takiego wartościowego, ale pamiątkowe. Tak że ona jedna, najbiedniejsza z tych wszystkich, naprawdę bardzo była biedna, ona jedyna mi wszystko oddała. Jak mi się już zaczęło tak troszkę lepiej powodzić, to chciałam ludziom się zrewanżować, pomagać. Tej Władzi właśnie, taka była biedna. I służącej mojej cioci Heli, która mi do getta przynosiła pierogi z borów... z jagodami [borówki – regionalizm: czarne jagody], bo ja lubię. Ona tak strasznie płakała pod tym gettem – Tosiu, jesteś głodna!. A biedna była. Co mogła, to mi przynosiła. Tak, że myśmy jej po wojnie, z kuzynką z Wrocławia, co miesiąc posyłały pieniądze. Niedużo, bo sama nie miałam, ale ta służąca zawsze była nam wdzięczna. Jak była chora, to jej załatwiałam lekarstwa, bo jej się naprawdę należało. Był taki majster u Schindlera, ja go szukałam po wojnie, bo on mi bardzo pomagał. Ogłaszałam w gazetach, bo pamiętałam jego imię i nazwisko, dzisiaj już mi wyleciało z pamięci. Tak jak mówię, Polacy pomagali. Byli ludzie porządni i mnie

bardzo pomagali. Nawet głupimi pierogami czy kawałkiem ciasta.

A dom mi oddali od razu, sądownie, bo nikogo nie było, byłam jedyną spadkobierczynią.

Kazali mi tylko czynsz zapłacić za sześć lat. Niemiec brał pieniądze i uciekł, nie oddawał do gminy, czy gdzie się oddawało ten czynsz w czasie wojny. I do mnie przyszły rachunki za całą okupację. Miałam rozprawę i myślałam, że mnie [szlag] trafi. Nie miałam na adwokata i podobno wspaniale się broniłam w tym sądzie. Mówię – Za co? Nie dość, że straciłam wszystko, jestem boso, nago, to ja mam płacić za mój pobyt w obozach?! Umorzyli to, ale coś musiałam w ratach zapłacić.

Odebrałam 6 domów, 5 sprzedałam. Dom wujka na Paulińskiej. W Podgórzu, po babci. Na Placu Nowym, też, po wujku. Nasz był jeden, na Miodowej. Po wojnie mój mąż się zajął tym domem, to skreślał tylko długie, które ojciec zrobił. W koronach, w złocie. Było pełno tych długów, bo ojciec żył ponad stan. Widocznie przed wojną się tak robiło, że się brało na hipotekę. Na szczęście udało się je spłacić w tej cenie, w której ojciec wziął, bo nie przeliczali. Jakby przeliczyli, to bym nie wyszła z tego długu.

Zjadłam obiad w Ermitażu [restauracja] z koleżankami, za ten babci dom. I tak myślałam, co by mój ojciec powiedział, że ja tak sprzedaję. Ale jakby przyjechał i byśmy nie mieli co jeść, to by też sprzedał. Zresztą, po obozach, to nic nie było ważne, oprócz życia. Dobrze, że sprzedałam, nie mam dzisiaj, czego żałować. Straciłam wszystko, więc przynajmniej zjadłam obiad. Rok za rokiem marzyłam, jak to w obozie się marzyło, o bochenku chleba. Cały! Jak ja wyjdę z obozu, to ja sobie kupię tyle! Cały! Cały zjem od razu! Ale to była nieprawda, bo po obozie nie można było, niestety. Bo żołądek był skurczony. Nie dało się. Ale i tak dziękuję Bogu, bo wyszłam zdrowa. Koleżanki były chore na płuca i jakieś inne dolegliwości. Mi nic nie było. W sześciu obozach przecież byłam, nigdy nawet nie miałam kataru. Takie było szczęście. Nie chorowałam, no byłam na tym bloku doświadczalnym, to jedno.

Po wojnie byłam świadkiem na procesie Adama Mullera, on był odemanem. Był taki apel w Płaszowie i kazali oddawać dzieci. Ale jak się apel skończył, już ich nie obchodziło, które dziecko schowała matka... Kobieta schowała dziecko, niemowlę, nie wiem, ile miało, do takiego przeciwpożarowego kubła. I w ostatniej chwili to dziecko przykryła piaskiem. Apel się skończył, czyli to już go nie obchodziło, tego Amona Goetha. Te dzieci... nawet nie strzelał, tylko rozbijał o ścianę, bo szkoda było naboju. Matka musiała na to patrzeć. Potem ją i tak zastrzelił, ale najpierw musiała to zobaczyć. I apel już był skończony, rozkazali się nam rozejść, a on podszedł, ten Adam, wyjął dziecko z kubła i oddał Goethowi. On wziął to dziecko i roztrzaskał o mur. I ta matka, myśmy koło siebie stały, mówi – Ja muszę przeżyć! Muszę. Żeby tego drania ukatrupić, jak przeżyję. Przeżyła i ona go podała. Mnie wołali na świadka, powiedziałam wszystko, co wiedziałam. Jego wsadzili, ale jego rodzice mieli dużo forsy. On przeżył z rodzicami, bo ojciec też był odemanem. Cała rodzina przeżyła. Ona wyjechała, ta matka dziecka. A jego wykluczyli ze społeczeństwa żydowskiego. No, ale potem miał sklep na Brackiej i mu się dobrze powodziło.

On był bandyta, ten Adam. Do Płaszowa raz dziennie jechała fura z końmi i wieźli chleb do obozu. O piątej jeszcze było ciemno i ten wóz był taki, drabiniasty i jak jechał, to się sypały z tego chleba okruszyny. Myśmy zbierały te okruszki. Idę z koleżanką i mówię – O, jak dobrze, on jest na warcie, on mnie zna, to odwróci głowę. Bo odemani udawali, że nie widzą. Jak mnie sprzął tą pejcą! – Jak to? To ty mnie, Adam... – ja mówię – ty mnie? Przecież my się znamy! Jak mnie złał, to miałam guzy

na głowie, jakby rogi mi wyrosły.

Myśmy go ze schodów zrzucali w Feniksie [budynek przy Rynku na rogu z ulicą św. Jana], chodziłyśmy tam na fajfy z koleżankami. I on przyszedł. Byłyśmy w towarzystwie kolegów, już wtedy byłam na studiach. I ja mówię – Słuchajcie, morderca!. Jak go wzięli i zrzucili ze wszystkich schodów tego Feniksa... On się obtarł i poszedł, nawet słowa nie powiedział. Potem drugi raz na Plantach [park okalający Stare Miasto, powstały na miejscu dawnych murów miejskich]. Siedziałam z mężem na ławce i on szedł. Byli z nami męża koledzy ze studiów. I ja mówię – Słuchajcie, dajcie mu wycisk! Jak się na niego rzucili, jak go sprali... Mówię – No, nie musisz okruszków zbierać! Bo ja w Płaszowie to prawie językiem zbierałam z ziemi te okruszki. Nic się nie odezwał. Podobno chciał popełnić samobójstwo, nie popełnił. Potem zapomnieli. Może 5 lat temu, nie wiem, zadzwonili do mnie, że on zmarł. On był młody jeszcze przecież, rok młodszy ode mnie. Ojciec mój, jakeśmy w getcie szli i szedł taki odeman, to mi kazał pluć. – Pluj na niego! Żebyś w życiu z nim nie rozmawiała.

Zaraz po wojnie, to tych wszystkich odemanów aresztowali. Nie wiem, czy na prośbę Gminy Żydowskiej, czy na skutek donosów ludzi, którzy byli w obozie... Niektórzy mówią, że byli i porządni odemani. Ja mówię – Porządni?! Tak, jak UB-ek porządny! Żyd odeman, to był parszywy Żyd. Musiał podpisać, że będzie bił, donosił i że będzie na usługach Niemców. To porządny?! Jaki porządny? Już jest podejrzane, jak cała rodzina przeżyła. Przeszłam 6 obozów i wiem, co to znaczyło przeżyć z rodziną. To było wykluczone. Przecież mnie wzięli oddzielnie, brata oddzielnie, ojca oddzielnie, mamę zastrzelili... Wykluczone żebyśmy byli razem. A oni przeżyli i to całkiem nieźle. Im się świetnie powodziło w Płaszowie. Mieli swój barak, jedzenia potąd... Ja się zgadzam z tym, że dzieci odemanów nie zawiniły, że rodzice robili to, żeby one przeżyły, ale niech siedzą cicho. Niech nie piszą kretyństw, że zdychały z głodu albo, że nic nie wiedziały. Guzik prawda. Dobrze widziały, że tatuś chodzi z pejcą [pejczem].

W każdym narodzie są różni ludzie. Ja mówię: tylko do mnie nie mówcie, że był porządny odeman, ja bym wszystkich skazała od razu. W Płaszowie był taki Chilowicz, który był podnóżkiem u Amona Goetha. Całowali się, Goeth go uwielbiał. I pewnego pięknego dnia na apelplatz [placu apelowym] kazali nam przyjść, leżał Chilowicz, jego żona i dziecko. Goeth wszystkich wystrzelał. Ja mówię, bardzo dobrze zrobił, nie padło na nasze ręce, bo ich załatwił. Syn Chilowicza, 8 lat, taki gówniarz, ubrany w cholewy i z tą pejcą latał.

Ja ledwo przyjechałam, to już się chciałam zapisać do szkoły, tak mi wpoił ojciec: musisz się uczyć. Zapisałam się do szkoły na ulicy Oleandry, ale ponieważ byłam za stara, żeby zacząć od początku, robiłam dwa lata w jednym roku. Bo jak wróciłam, to już miałam 20 lat przecież i zacząć od pierwszej gimnazjalnej, już było troszkę za późno. Jakoś się nadrabiało. Potem sprzedałam jeszcze jeden dom i jeszcze jeden, trochę się ubrałam. Już miałam takie towarzystwo ze szkoły. Po skończeniu szkoły, zaczęłam studiować chemię na U.J. Chodziliśmy się bawić, jak to młodzież, do Feniksa na fajfy. W Bratniaku [organizacja samopomocy studenckiej] na U.J. był pan Chlebowski. On był jakimś przewodniczącym, partyjny nie z tej ziemi. Bardzo mi pomógł, bo załatwił mieszkanie na Czapskich. Pokoik na mansardzie, ale ja byłam przeszcześnieśliwa. Załatwił mi stołówkę na U.J. A jego koledzy mnie uczyli i starali się, żebym jakoś zdawała wszystko. Bo na chemii miałam kłopoty z matematyką. Moje studiowanie chemii było głupotą, ja raczej byłam humanistką. Co mnie skłoniło do tej chemii, tego nie pamiętam. Ale chyba koleżanka, która poszła. Tośmy razem poszły. Jakoś

dobrze, tylko nie mam pracy napisanej. Syn się urodził i już nie dałam rady. Ja nie miałam żadnej pomocy, bo myśmy nic nie mieli. Byliśmy biedni. Mąż studiował, potem pracował w Polfie, zarabiał 700 złotych i ciągle nam brakowało, teść nam trochę pomagał.

Mąż, Adam Silberring, jest inżynierem chemikiem. Urodził się w 1921, ostatnia matura przed wojną. W Bochni. To była bardzo zasymilowana rodzina. Jego ojciec, Samuel, był właścicielem dużej drukarni i domu. Nawet w soboty za interesami jeździł samochodem, opowiadał, a ortodoksyjni Żydzi za nim kamieniami rzucali. Nie zapewnił synom hebrajskiego wykształcenia. Był wierzący, bo nawet po wojnie do synagogi na Nowy Rok chodził, ale nie obchodził wszystkich świąt. Umarł w 1973 roku. Matka miała na imię Rozalia, zginęła w czasie wojny. Mąż ma brata, Ludwika, rocznik 1925. Obydwaj z bratem studiowali na Politechnice Śląskiej, we Wrocławiu. Ludwik mieszka w Szwajcarii, jest profesorem, ma 2 dzieci. Nie mamy z nim kontaktu.

W czasie wojny najpierw ich Niemcy wyrzucili z domu, bo to bardzo piękny dom. Zabrali im samochód, Steiera. Tak że oni z jakimiś walizkami, opowiadał teść, poszli w stronę Lwowa. W międzyczasie ich Niemcy jeszcze gdzieś tam zmuszali do pracy, a potem im się udało dojść do Lwowa. Matka z młodszym bratem wracała po zimowe ubrania do Bochni. Nie mieli ciepłych rzeczy, bo we wrześniu był upał. Płynęła łódką przez San, łódka się przewróciła i ona utonęła, a Ludwika wyratowali i wrócił do Lwowa. Potem Rosjanie ich wywieźli na Ural. Nie pamiętam, jak się ta miejscowość nazywała. Ojciec był jakimś zaufanym polskiej dyplomacji. A mąż zgłosił, że jest kierowcą. Miał prawo jazdy, jeszcze sprzed wojny. Ojciec mówił, że Adam jeździł samochodem, a on płacił za niego kary. Nawet mam takie zdjęcie, gdzie mu podkładał ojciec poduszkę, bo nie sięgał do kierownicy. Bardzo dobrze mu się powodziło, bo woził jakiegoś naczelnika i miał jedzenie. A że w prawie jazdy była pieczętka okrągła, mąż mówił, że, jak okrągła, to dla nich była świętość. A najbardziej mnie śmieszyło, kiedy opowiadał, że jak dostał mleko, to je przywoził w kieszeni. Bo najpierw rzucał mleko, żeby zamarzło, tam było coś ze 40 stopni mrozu. Potem je wkładał do kieszeni i wiózł, a w domu rozpuszczał. I pamiętam, że raz dostali z przydziału jakąś kawę. Biała była, niepalona. Sprzedali jakiejś Rosjance. Potem ta Rosjanka z pyskiem przyszła. Chciała ich bić, że ją oszukali. To się pytają, dlaczego. Mówi – Cholera jasna, gotuję 3 dni i to nie chce zmięknąć! Kupiła jakąś kaszę, ja wiem, co?

Jak wrócili ze Związku Radzieckiego, to pojechali do Bochni, gdzie był dom, kilkanaście pokoi. Ale po wojnie został upaństwowiony, ponieważ tam na dole była drukarnia. Najpierw go Niemcy zabrali, a potem nasi zabrali, Polacy. I teść starał się dostać, choć jeden pokój, bo nie mieli gdzie mieszkać. No i nie chcieli go wpuścić, wyrzucili go. Teść przed wojną był bardzo zamożny i bardzo dużo dawał na Bochnię, nawet na budowę kościoła. Tak że ich w Bochni znali i burmistrz ich pamiętał. Jego ojciec pracował w drukarni teścia. I wystarał się ten burmistrz o przydział na jeden pokój, 15 metrów, bez używalności kuchni, łazienki, ubikacji. Mieszkali tam jakiś czas, potem przenieśli się do Krakowa. Teść był bardzo zaradny i sobie tu otworzył małą drukarnię, razem ze swoim byłym pracownikiem. Zaczął zarabiać i tutaj najęli mieszkanie.

Myśmy się nie znali, bo mąż studiował na Politechnice, a ja byłam na U.J. A poznaliśmy się przez taką książkę. Bo ja, nie wiem skąd, ale miałam podręczniki, które trudno było zdobyć. A koleżanka wiedziała, że je mam i posłała Adama do mnie, jeszcze na Karmelicką, gdzie mieszkałam u Korczaków. No i mąż przyszedł po książkę i tak się zaczęło. To musiało być w 1946-tym. Wysłałam za mąż w 1947 roku, 2 października była 57 rocznica.

Jak dziecko było małe, to mąż się sprzeciwiał, żebym ja poszła do pracy, bo on nikomu dziecka nie powierzy, nie odda. Jak syn był większy, to się uparłam i poszłam do zupełnie nieciekawej pracy, bo tam było pół etatu, żebym mogła pogodzić dom. Jak już syn chodził do szkoły, to ja wstawałam o 5-tej rano, żeby posprzątać, jego wyprawić do szkoły na 8-mą, i szłam na te 4 godziny do pracy. Wracając, odbierałam go ze szkoły. Musiałam ugotować, wyprać, wszystko zrobić. Tak, że mi odpowiadała ta praca. Była w biurze, zresztą przyjemne stosunki miałam. Tam dużo było korzyści wtedy, bo niczego w sklepach nie było, a myśmy mieli bufet na dole i była szynka. To znaczy, nie codziennie. Każdy dostawał przydział, ale miałam szynkę i było co dziecku dać. [Okres socjalizmu w Polsce, to wielkie kłopoty z zaopatrzeniem sklepów, kolejki po mięso, papier toaletowy i inne deficytowe artykuły.] I miałam kartę do stołówki, już później, jak mąż wyjechał na długą delegację, a syn studiował. Tak, że było mi to bardzo na rękę. Chodziłam na koncerty, do kina. Poza tym miałam dużo, dużo znajomych. Graliśmy w bridża [brydża] całymi nocami, prosto z bridża do pracy, mnie prawie w domu nie było. Smutna nigdy nie byłam. Nigdy. Nie dopuszczałam do tego, bo dość miałam smutnych lat. Tak że korzystałam [z życia], gdzie mogłam.

Mój syn Jerzy urodził się 30 maja 1949 w Krakowie. No, ja naprawdę, nic nie miałam, ale dla niego było wszystko. Ojciec mi wpajał, że bez nauki, nigdy nikim nie będę. Przecież, jak szłam do getta, to mi ojciec dał plecak z książkami – bo się będziesz uczyć – powiedział. Jeszcze u Schindlera miałam książki, bo ciągle ojciec mówił, że się mam uczyć. Tak że to wyniosłam z domu i kontynuowałam u syna i u wnuczki. W liceum Sobieskiego mamy na wywiadówce protestowały, żeby nie uczyć rosyjskiego. Ja mówię – Synu, czego się nauczysz, będzie twoje. On pięknie mówi po rosyjsku i mu się to bardzo przydało. A te mamy – Jak się pani nie wstydzi, żeby się dziecko rosyjskiego uczyło?! Jak można dziecku powiedzieć, żeby się nie uczyło?! Nie jestem czerwona, ani nigdy w życiu nie byłam komunistką, ale język rosyjski mi zupełnie nie przeszkadza. Bardzo ładny język, melodyjny. Język niczemu nie winien. I muzykę mają taką piękną. Jak mąż pracował w Rosji i był w Moskwie, jeździłam tam, szliśmy do teatru czy na operę. „Jezioro Łabędzie” to naprawdę przeżycie nie z tej ziemi!

Największe nieszczęście było, jak ja powiedziałam Jurkowi, że nie pójdzie do szkoły. I on płakał. Ja mu chowałam mundurek, jak coś przeszkrobał, bo u Sobieskiego trzeba było mieć mundurek. On, biedny, sobie pożyczał od kolegi. Ale wiedziałam, że to jedyne, czym go mogę postraszyć. Tak strasznie chciał chodzić do szkoły. W liceum miał nadobowiązkową łacinę, w domu kultury angielski, a jeszcze chodził równolegle do szkoły muzycznej i grał na skrzypcach, zresztą bardzo ładnie. Już jak był mały, mówił – Ja chcę mieć dwa zawody. Jeden nie wiem jaki, a jeden muzyczny, bo mi się to może przydać”. Zawsze tak mówił. Ale wybiłam mu to z głowy, bo uważałam, że muzyk, to nie jest dla chłopca.

Jurek bardzo się przyjaźnił z Zosią Żeleską. On chodził jeszcze do podstawówki, a ona już była w liceum. Była strasznie zakochana para przez długie lata. Jej ojciec był profesorem na Politechnice we Wrocławiu. No i zawsze mówił – Ja nie wiem, czy Zośka taka głupia, czy Jurek taki mądry. On nie mógł zrozumieć, że oni mają tyle wspólnego. Ona skończyła architekturę. Mieszka w Nowym Jorku i zajmuje się fotografią artystyczną, jest asystentką Horowitza [Ryszard Horowitz, ur. 1939 w Krakowie, fotografik.]. Jak Jurek chodził z synową, to ja mówię – Jurek, żebyś mi tu nie przyprowadzał nikogo bez studiów. W życiu, mowy nie ma, żeby moja synowa nie miała wyższego wykształcenia. No i wreszcie przyszedł i mówi – Mamo, jest po studiach. Synowa skończyła historię na U.J. i jest w tej chwili dyrektorem w VI LO.

Jurek studiował chemię i równocześnie fizykę na U.J. Bardzo szybko zrobił doktorat i wyjechał do Szwecji, 10 lat w Uppsali na uniwersytecie wykładał. Tam się habilitował. Przyjechał, to musiał nostryfikować. Zresztą do dnia dzisiejszego tam wykłada, jeździ do Uppsali raz w miesiącu. Wykładał też w Japonii. Zna 5 języków. W 2000 roku został profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ja go wypuściłam na szerokie wody, dałam wszystko, co mogłam dać. To wszystko kosztowało. Ale to, że został profesorem to jest jego zasługa, bo tego od niego już nie wymagałam.

Pewnego pięknego dnia, jak był w drugiej podstawowej, przyleciał do domu i mówi – Mamo! Czy to prawda, że ty jesteś Żydka?! Ja mówię – Nie Żydka, tylko Żydówka. – Bo mi koledzy powiedzieli. Jakaś mama kolegi, która nas знаła, zresztą ja się nie ukrywałam. Z tym że, niestety, u mnie tradycji nie było już po wojnie żadnych. Tak że on wie, że jest Żydem, ale nic poza tym. Nie zmienił również nazwiska i, jak stale podaje, bycie Żydem nigdy mu nie zaszkodziło.

Mąż pracował w „Polfie” jako szef produkcji, kiedy w 68. spowodowali, że odszedł, jak się zaczęło to z Żydami. Poszedł do „Chemadex-u”, to było biuro projektów. I bardzo dobrze zrobił, bo przynajmniej cały czas siedział za granicą. Oni budowali fabryki kwasu siarkowego. W Rosji, potem w Czechosłowacji. On pracował po emeryturze, chyba jeszcze z 8 lat. Bo był świetnym fachowcem, znał języki i była budowa. Ale Chemadex się rozleciał, mąż wrócił z powrotem do kraju, a ponieważ już był w wieku emerytalnym, to go zwolnili. A ja się strasznie bałam, bo sobie nie wyobrażałam męża w domu. Wiedziałam, że to dla niego będzie wielka tragedia, on był taki czynny, taki pracoholik. Jeszcze dzisiaj bez przerwy dzwonią. Adam powiedz, jak się to robi, jak się tamto robi, ja do ciebie przyjdę z deską, ty mi wykreślisz to wszystko. Zeszłego roku pracował, trochę miał wykładów na AGH. W tej chwili, Bogu dzięki, ma robotę z budową piętra dla wnuczki w naszej kamienicy na Miodowej. Czyta, wszystkim się interesuje. Można z nim rozmawiać na każdy temat. Wprowadzie ja się z nim nie zgadzam w wielu wypadkach, ale już spuściłam z tonu. Szkoda czasu na kłótnie.

Przez lata odmawiałam wywiadów. Kto do mnie dzwonił, to odmawiałam. Ale potem mnie zaczęli przekonywać, że to jest dla historii, żeby pamięć nie zaginęła. Bo jak nas nie będzie, to już nie będzie miał kto mówić, bo już nie będzie nikogo z naszego pokolenia. Tylko drugie, trzecie, które słyszało. To nie jest to samo. Ale ja się łapię na tym, że to, co ja opowiadam, to już nie jest wiernie oddane to, co było. Tak że ja się sama zastanawiam, czy to prawda. To, co ja mówię, czy to rzeczywiście prawda. Jeżeli to prawda, wydaje się niemożliwe, że się to przeżyło. Trudno uwierzyć, że można było coś podobnego przeżyć. Niektóre koleżanki, padały od razu... Ja, która wyszłam prosto z domu, gdzie naprawdę było wszystko... Może dlatego przeżyłam, że byłam jakoś uodporniona. Ja potem dopiero byłam twarda. Potem byłam, bo musiałam być twarda. Jak wróciłam i dowiedziałam się, że nikt z rodziny nie przeżył.

O Schindlerze gdzieś mówiłam i to było nagrane. Ja nawet o tym nie wiedziałam, dopiero potem się dowiedziałam. Bardzo pozytywnie się na jego temat wypowiadałam, bo uważam, że wart jest tego, chociaż mam dużo przeciwników, którzy uważają, że ja nie powinnam tak mówić, jako Żydówka. Ale uważam, że on tyle dobrego zrobił. Naprawdę, on nas, tak powiem, kochał i wszystko robił, żeby nam osłodzić te chwile. Przede wszystkim nikogo nie zastrzelił, nikogo nie bił, nikogo nie kopał i nikomu „Ferfluchte Jude” nie powiedział. I dostałam taką wiadomość, od pani Erb, przewodniczącej Maximilian Kolbe Werke, że ona chciałaby przeprowadzić wywiad, bo ją bardzo interesuje Schindler. Przyszła tutaj z panem Sową, który był jej prawą ręką na Polskę. Obydwoje już nie żyją. Mówiłam tej

pani Erb, że Schindler mnie pogłaskał, posyłał nam butki, pozwalał nam wyjść, jak kto miał pieniądze, do kiosku spożywczego obok. I nikt nie stał na warcie, wcale nas nie pilnowali. Nikt nie uciekł.

Ukazała się gazeta, dziennik „Kurze Zeitung”, w Niemczech, we Freiburgu, z tym wywiadem i moimi zdjęciami. No i od tego czasu się przyjaźń wywiązała. Jak pani Erb była w Krakowie, to zawsze do mnie wstępowała. Zapraszała. Z tego Kolbe Werke był też pan, nazywał się Konradi, który przyjechał pewnego pięknego dnia do Krakowa i do mnie zadzwonił. Powiedział, że czytał mój wywiad ze mną i zapytał, czy mógłby się ze mną spotkać. Pytał, czy ja potrafię się z Niemcem w ogóle spotkać, czy nie mam jakiegoś urazu. Umówiliśmy się w Jamie Michalika. Zapytałam, jak go poznam. A on mówi – Ja mam pani zdjęcie i ja panią znajdę. Proszę siedzieć w pierwszej sali. Przyszedł, bardzo zresztą przystojny i elegancki pan, i przyniósł pełno róż, wielki bukiet, ze 20 albo 30 róż. Podszedł do mnie. Od razu, bezbłędnie podszedł, widocznie ze zdjęcia poznał. Klęknął, dosłownie, ze łzami mi te róże podał. I pyta, czy ja jestem w stanie mu podać rękę? Czy on się może ze mną przywitać? No i ja mówię –

Wprawdzie dotychczas tego nie robiłam, bo jestem Żydówką, a pan jest Niemcem, ale wyjątkowo... i się z nim przywitałam. Też miałam łzy w oczach. To było jakieś 7 – 8 lat temu. No i zawsze już potem przyjeżdżał, co roku, jak najlepszy przyjaciel. Potem mnie zaprosił do Niemiec. Ufundował mi takie wczasy we Fuldzie i się pytał, czy ja zniosę język niemiecki, czy będę w stanie słuchać tego języka. Ale tak jakoś zatarła się u mnie ta bariera nienawiści, jeżeli chodzi o niego. Uważałam go za swojego przyjaciela. Przyjeżdżał, co roku do Krakowa, z racji swojej funkcji. Kolbe Werke jest fundacją, która pomaga chorym, starym. Wszystkim, którzy byli w obozach. On sprawdzał, jak te pieniądze są użytkowane. Co przyjeżdżał, to mi coś przywoził, a jak nie przyjeżdżał, to mi posyłał. Mówię, że nie potrzebuję. A on, że nie jest w stanie się zrehabilitować nawet w jednej tysięcznej części za to, co ja przeżyłam. On był troszkę młodszy ode mnie, ale pamiętał wojnę. Ojciec jego też nie był w wojsku.

Ja potem napisałam do Kolbe Werke, że on jest pierwszym Niemcem, przy którym potrafiłam przełamać tę barierę i podać mu rękę. Pisałam, że jest wspaniałym człowiekiem i gdyby tacy ludzie byli w czasie wojny, to by nie było wojny. Jego żona kazała to przetłumaczyć i mój list wisi w Kolbe Werke. Synowie są dumni z ojca i to wisi u nich w pracy i u niej w domu także. Pisała, że mi dziękuje za to, co ja o jej mężu napisałam. Bo on zmarł jakieś 2 czy 3 lata temu, na raka. Żona napisała, kiedy będzie pogrzeb, żebym przyjechała. Ja tu wpłaciłam, na jego nazwisko, na hospicjum i posłałam to zamiast kwiatów. Naprawdę bardzo przeżyłam jego śmierć. Cudowne były te spotkania. On był jedwabnym człowiekiem.

Czułam się silna zawsze. Nigdy mi nic nie dolegało. Nie przypuszczałam, że mnie w ogóle może coś być. I od jakiegoś czasu zaczęła mnie pobolewać noga. Mamy taką przychodnię dla więźniów przy ulicy Dietla 64, utrzymywaną przez Kolbe Werke, przez Niemców. Posłałam do pani doktor Ślizackiej, zresztą bardzo kochanej i dobrej. Ona od razu zrobiła z tego bardzo poważną sprawę, posłała mnie na badania, na rehabilitację, nawet sprowadziła jakiś aparat z Niemiec i mnie namawiała, żebym z laską chodziła. Nie pomogło. Zaczęła mówić o operacji. W ogóle nie chciałam o tym słyszeć, że ja mogę być operowana. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie, że do przychodni przyszło pismo, że Niemcy stworzyli fundację lekarzy i byłych więźniów operują bezpłatnie. Był adres, ja to wypełniłam i posłałam. Przysłali mi termin operacji, ale w Blakenburgu. Napisałam do Niemiec, że bardzo

proszę, żeby mnie w Berlinie operowali, bo jest dojazd. No i zgodzili się, ale to trwało prawie pół roku. Umieścili mnie w domu noclegowym, piękny apartament, operacja była dosłownie za 3 dni. Ta opieka! U nas, jeszcze długo bym czekała na takie warunki. Od początku mi przydzielono rehabilitanta, zresztą Polaka i po 3-ch dniach, jak wstałam, to on już był przy mnie, uczył mnie chodzić. No i tam, 7 miesięcy temu, lepiej chodziłam. Teraz niestety chodzę o kuli.

Kiedy moja wnuczka, Magda, miała 3 lata, to ja już z nią leciałam na Basztową, bo tam było przedszkole muzyczne. Potem z nią leciałam na angielski, a potem jeszcze na narty, bo takie miała malutkie narty. Teraz Magda gra na skrzypcach Jurka. Chciałam, żeby studiowała farmację, medycynę, prawo, ale się uparła. – Babciu, to twoja wina, boś ty mnie do tej szkoły zaprowadziła. Sama sobie ukręciłaś bicz. Jest na V roku Akademii Muzycznej, specjalizacja Dyrygentura i Kompozycja i na III roku Socjologii UJ. Ma dyplom Najlepszej Studentki Małopolski i stypendium ministra. Włada wspaniałe językiem angielskim i niemieckim, bo ona chodziła do VI LO [liceum językowe w Krakowie], do klasy z wykładowym angielskim. Po ślubie (2003) nazywa się Strzelecka-Silberring. Mąż jest kompozytorem, pracownikiem naukowym Akademii Muzycznej.

Ja zawsze chciałam, żeby Magda w mieszkaniu na Miodowej kiedyś zamieszkała. Na początku, jak ten dom odebrałam, to nie chcieli. Synowa nie chciała. A teraz, kiedy nasz Kazimierz się staje modny i najdroższe mieszkania są na Kazimierzu...Teraz się piętro buduje dla wnuczki. Magda mówi, że chce mieć dużo miejsca, gdybyśmy z mężem potrzebowali opieki...

Przyznam się, że ja na Miodową nie chodzę. Jak muszę tamtędy przejść, to idę dookoła. Nie mogę. Ciągłe mam przed oczami mamę, która broni tych mebli... Ja tego nie widziałam, ale w moim umyśle zostało, bo ja sobie to ciągle wyobrażam. I te schody pamiętam, jak zjeżdżałam po poręczy. Ojciec zrobił, są do dzisiejszego dnia, takie kule na poręczach, bo ja zjeżdżałam...